

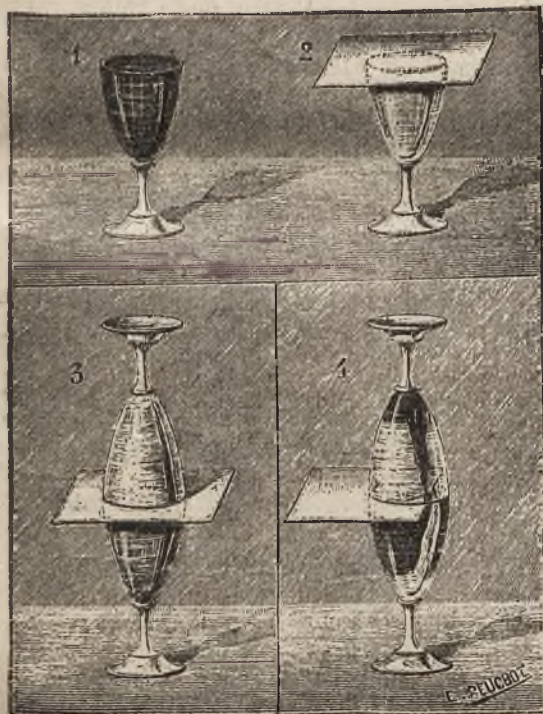


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Doświadczenie fizyczne.

Wino jest lżejsze od wody, łatwo się o tem przekonać urządzając doświadczenie, przedstawione na rycinie. W pierwszy kieliszek nalejemy wina, w drugi wody, ten ostatni przykryjemy ćwiartką papieru i potem zgrabnie przewrócimy dnem do góry, ustawimy na pierwszym, jak wskazuje fig. 3-a.

Ze woda rozleje się przy pierwszej, a może i przy kilku następnych próbach, to rzecz bardzo prawdopodobna, radzimy więc przedsięwziąć różne środki ostrożności, ażeby to wielkiego nieporządku nie sprawiło.

Gdy już kieliszki stoją jeden na drugim, trzeba papier ostrożnie przesunąć, ażeby przy brzegach kieliszków z jednej strony utworzyć komunikacją pomiędzy niemi. Obaczmy, że papier wykreśli się w kształcie litery S, tworząc dwie rynienki, jedną zwróconą do góry, drugą na dół. Wnet rozpocznie się przelewanie obu cieczy z jednego kieliszka do drugiego, a to w taki sposób, że wino podnosić się będzie, a woda opadać. Obie cieczy nie mieszają się z sobą wcale i zabawne to przeciekanie trwać będzie póty, póki nie nastąpi zupełna przemiana zawartości obu kieliszków. I oto będziemy mieli dowód oczywisty, że woda jest gęstsza i cięższa od wina. Można by także samo doświadczenie urządzać z innych cieczy rozmaitej gęstości, najlepiej jednak brać wino czerwone, bo odróżnia się barwą jaskrawą od wody i ładny tworzy widok przy przeciekaniu.

POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

— Ho!... Ho!... — rozlega się od przodu wołanie tak potężne, że się ponad burzą szalejących rumaków wybija. Kilkunastu jeźdźców, lecąc jakby ich wierzchowce miały skrzydła, zabiega drogę wyścigowcom, rozstępując się tylko przed pedzącym wozem. Błyszcza od guzików, jaskrawo

haftowane ich dolmany, pałą jak z ognistej broni biczyska niezmiernie długie, na bardzo krótkiej osadzone rękojeści, strojne i świecące w słońcu kapelusze powiewają uprzejmie wstęgami ku podróżnym. To *czikosy!*... Szandor kłania się także kapeluszem, ale jest tak zajęty czikosami, których dotąd tylko w gospodzie a nie na koniu widywał, że milknie i zapomina o stepowych rumakach, gdy te na widok swych pasterzy, posłuszne ich hasłu pierzchają w powrotną stronę i znikają szybko jak się pojawiły. Szandor z trochę rozwartymi ustami z wielkiego zajęcia, wykręciwszy się teraz jak fryga w rękach ojca, patrzy na czikosów pędzących za stadem, patrzy dopóki choć cię koni i czikosów majaczy w od dali. Wóz pędzi tymczasem bezustannie, pędzi przez zielony step bez granic i bez drogi widocznej, choć ona dla wtajemniczonych istnieje.

Wtem miła acz wielce dziwna muzyka zwraca uwagę chłopca, który też żwawo wykręca się znowu frontem ku własnej lotnej czwórce. Step tu jak okiem zajrzeć nie jest zielony, bo pokrywają go ruchome jakieś masy rozległe. Trudno odgadnąć co to jest tam takiego. Tymczasem niezbyt donośne ale czyste i wielce harmonijne dźwięki słyszeć się dają coraz dokładniej i nawet wyrazy pieśni:

Nasze piękne trzody pasą się na łące,
Skubią żwawo trawkę i zioła kwitnące.

— Be... e... e!... — rozlega się jako zwrotka po każdym takim dwuwierszu, chór potężny na cały step. — B... e... e!...

— Hap, hap! — odzywa się czasem miarowe szczekanie jako przyśpiewek.

— Ha ha ha! — zaśmiał się Szandor serdecznie — wszakże to owce, tam oto ich pasterz *juhas* siedzi ze psem u boku, wsparty na kijku i śpiewa, a cymbalista pali fajkę obok niego i gra na cymbałach, a pies poszczekuje jakby należał do pieśni. Ha ha! jaka śmieszna muzyka!

Mimo zajęcia swego, *juhas* i cymbalista cały błyszczący w słońcu od nabitego świecidlami dołmana, ukłonili się kapeluszami bardzo uprzejmie podróżnym, jak zwyczaj każe. Co ujrawszy, pies, który już był powstał z głuchym mrukiem w wojowniczej postawie, teraz usiadł na dawnym miejscu, szczenkawszy zlekka półgłosem, co miało znaczyć oczywiście:

— No, jeżeli tak... to co innego: niech swoi jadą swobodnie.

Szandor kłaniał się także po swojemu zamaszysto, żeby wstęgi powiewały. Wóz pędził tymczasem wśród rozpiezających się przed nim beczącej gromady.

— Ej!... tu już chyba wszystkie owce z całego świata przyszły na pastwisko! — zauważył chłopczyzna, gdy owczy ten step zdawał się bez granic.

— Gdzie zaś, dziecko, to stado ma ledwo 20,000 sztuk... daleko większe u nas bywają — odparł ojciec. W miarę jak wjeżdżano w centrum owczej armii, beczenie zwiększało się

— Szandor! dziecko! to jest las. Las Bakony. Co tobie Szandor? Las, to znaczy bardzo dużo drzew żywych, razem rosnących; a topole, drzewa żywe, widzisz rosnące koło naszej czardy, i widziałeś przecież, gdyś z matką jeździł na jarmark, drzewo przed kościołem, pamiętasz? To są też same drzewa które przywozimy do domu na paliwo, tylko tu w gromadzie inaczej wyglądają. Piękną jest puszcza i niema milszego życia jak wśród puszczy, ale i las jest piękna rzecz i bardzo potrzebna... — mówił gospodarz, a malec już stał znowu i słuchał i patrzył.

— Otóż to, że las jest bardzo potrzebny, bo gdyby lasu nie było to gdzieżby *szegeny legeny* mieli swój kąt spokojny?... — wtrącił naiwnie parobczak Janos. Snadź jako mieszkaniec puszczy, uważał także las jako niekoniecznie potrzebny... chyba dla ochrony złoczyńców, których butna fantazja ludowa madziarska pomieszana z litością, upoetyzowała sobie na „biednych chłopców”. Wóz zwolnił teraz trochę pędu po korzeniach potężnych dębów, mrokiem nakrywających leśną drożynę, i dla tego Janos dosłyszał co mówiono za nim. A wtem ozwał się głos ponury:

— I!... Szegeny legeny w ostatnim razie potrafiliby się

obejść i bez Bakony i bez twojej troskliwości, ale na coby się zdały świnki bez Bakony co je pasie żołędziami i bez takich jak ty dryblasów co je oprawiają?... to jest dopiero pytanie!... — Podróżni spojrzeli w stronę z której głos wychodził, wóz stanął. Na mchu pod dębem ogromnym, w pół leżał wysoki człowiek z fajką w zębach, w płóciennych spodniach z frendzlą u dołu, w skórzanym kaftanie, wysokich butach, w kapeluszu z szerokim brzegiem. W lewej ręce trzymał nieodstępny toporek na długim kijku czyli czekan i od niechcenia machając nim, przemawiał do Janosa.

— Szegeny legeny? — spytał Szandor pocichu.

— Może kanasz, pastuch hodujący świnki, w każdym razie: kanasze niekoniecznie już wszyscy rozboju probują — odpowiedział pocichu a głośno dodał ojciec Szandora:

— Nie dostałbym u was mięsa na gulasz, bracie?

— A dużo wam potrzeba?

— Ze dwa kawałki, od pyszczka do ogona każdy.

— Masz pieniądze? odlicz. — Kupujący liczył siedząc na wozie, sprzedający palił fajkę, leżąc w zaroślach, po chwili rzucił kapelusz prosto w wóz:

— Włóż tam — rzecze — do samego strumienia nasze stado się pasie, jedź i wybierz twoje dwa kawałki, a jakby kto pytał, powiedz że pieniądze wziął Sebes.

Kupujący włożył już zwykłą cenę dwóch rosłych wieprzy w kapelusz, postawił go na drodze schyliwszy się z wozu, i ukłoniwszy się miał ruszać dalej, gdy na ostatni wyraz drgnął i powstrzymał skinienie na które czekał Janos.

— Sebes?... — powtórzył przeciągle bacznie się przypatrując. Kanasz się uśmiechnął.

— Tak jak ty jesteś Petöfi — odparł — nie poznałeś to mnie?

— A nie, i teraz nie poznaję, bo przecież gdybyś był ten sam Sebes co mi z domu znikł a jam go jak syna chował, tobyś mię też jak znajomego przywitał... — Nie domówił, olbrzymi kanasz siedział już przed nim na wozie, rzuciwszy się jak błyskawica, siedział ręce mu i kolana całował, mówiąc:

— Jak mogłem wiedzieć że małego Sebesa mile wspominasz, choć uciekł z twego domu niewdzięcznik, i że kanaszowi uściskać się jak ojciec pozwolił.

— Hm, jak chłopakowi na puszczie zapachnie las, to cóż robić; a cóż kanasz, nie taki dobry jak drugi? A ty Sebes choć w lesie siedzisz i świnki hodujesz, przecież ty znowu chyba nie wdajesz się w inną robotę?... — na *inną* Petöfi położył nacisk.

— Oj, jest dosyć kłopotu ze świnkami, jest!... — odrzecz na to Sebes zapalając fajkę. Petöfi uważnie patrzył na niego:

— Ja to wiem i nie o to pytam — rzecze — ja pytam czy prócz świnek, nie miewasz czasem z ludźmi roboty takiej ot, po której to im bywa lżej iść lub jechać bo ulżono odzieży i mienia, a niekiedy to i tańcować muszą... he?... — i objaśnił Petöfi mowę swą wymownym i wyrazistym gestem, wskazując na własne gardło a potem na pobliską gałąź.

— E... cóżby tam znów... tak zaraz... e... — mruczał kanasz naciśnięty pytaniami, spuszczać oczy, a krwawy rumieniec oblał mu białą twarz i czoło, którego słońce nie mogło opalić w gąszczu leśnej.

— I!... do licha!... — skrzywił się Petöfi.

— Ha ha ha! — śmiał się z zawstydzenia kanasza Janos, w pół odwrócony od koni ku rozmawiającym.

— Hi hi hi! — zaśmiał się Szandor.

— A ty malcze! I ty będziesz się ze mnie śmiał! — zawołał Sebes chwytając chłopca — tyś pewno mały Szandor co ledwo oczy na świat otwierał, kiedym ja z waszej czardy na świat przysnął, a byłem wtedy ledwie kilka lat starszy jak jak ty dziś! Otóż jak to słońko świeci nad nami, tak prawdą jest że nigdy nie skrzywdził ubogiego, pytajcie wędrowną czeladź niemiecką, która często tędy przechodzi, pytajcie kogo chcecie. A zaś gdy jedzie wielki pan, kilka czwórek go wiezie, a pieniądze które on wywozi od swoich aby zagranicą

przejechać tylko dźwięczą i szeleszczą, albo gdy jedzie obcy wszystkim bogacz, który u nas pieniądze nabijał... to czemu on niema oddać nam trochę zbytku swego?... A jak nie chce oddać po dobrej woli, to trzeba go trochę nastraszyć żeby przedź oddał to czego ma zanadto! Prawda Szandor?

— Nieprawda! Czego się własną pracą nie zarobi, albo w szczyrim podarunku nie otrzyma, tego nie trzeba brać gwałtem ani podstępem! — odrzekło dziecko, nie zrozumiałszy fatalnego znaczenia ostatnich wyrazów kanasza.

— Ależ prawda! Nie wierzysz? — upierał się pastuch — dla czego?

— Nie wierzę niczemu co mówisz, bo ty jesteś złodziej i rozbójnik! — ze szczerością dziecka odparł Szandor.

Dreszcz wstrząsnął Petöfim i jego parobkiem: któż to znów słyszał nazywać tak kategorycznie rzeczy po imieniu, i między kanaszami słyszącymi z dzikości istnieją przecież pewne względy towarzyskie, których celem jest oszczędzanie drażliwości wzajemnej; ostrzegając dziecko przeciw wpływowi przewrotnych pojęć, rodzice zapomnieli przykazać mu aby ich nauki schował dla samego siebie tylko. Na jedno ognienie oka ciemno-czerwona łuna oblała białe czoło Sebesa, czarne oczy zapłonęły i Petöfi już chciał wyrwać dziecko z rąk prawie dotykających jego gardziółka, gdy Sebes pocałował nagle malca w oba rumiane policzki z wybuchem niezbyt wesolego jakiegoś śmiechu:

— Powiedz twojej matce że nigdy nie skrzywdziłem swojego ani ubogiego — powtórzył, zgadując zkąd pochodzą głównie przekonania dziecka, i powiedział ję że kanasz Sebes dziękuje za to, że go myła i czesała gdy był mały..

Petöfi odetchnął, poczuł że matka zachowała w tej chwili syna, dzięki temu, że kiedyś pielęgnowała rozbójnika.

— Ale nam czas po towar! — rzekł usiłując ukryć przerażenie i zakończyć sprawę — słonko już wysoko!

— To prawda — potwierdził kanasz — obcych zostawiłbym własnemu rozumowi, ale tobie Petöfi sam mięsa dobiore, tylko potem, pójdź do mojej budy na gulasz; nie odmówisz przecie gościny? — Wstał, kapelusz z ziemi podniósł, pieniądze zeń wrzucił do kieszeni, nakrywając głowę, płaszcz leżący na poprzednim legowisku zarzucił sobie na ramiona i uderzając w ziemię długim kijem od czekana, dodał:

— No, chodźmy. — Ruszyli. Szandor siedział na wozie, Petöfi szedł obok Sebesa. Za chwilę dał się słyszeć chrzęst potężny stłumiony, połączony z charakterystycznym odgłosem: zdawało się jakby cały las chrząkał chrupiąc żółędzie, cały las smakował: roch roch roch... W istocie nie było tu prawie widać ziemi pod dębami, nakrywała ją ruchoma falanga bezroznej trzody. Idąc Sebes wydawał od czasu do czasu przeciągle okrzyki i czekaniem jak kijem wymachiwał na trzodę, co powodowało pewien ruch w lesie. Wkrótce wyszli na otwarsze trochę miejsce, małą polanę na którą jednocześnie wchodziło ze wszystkich stron kilkanaście ogromnych kłapouchych potworów.

— Masz co najlepsze, wybieraj! — powiedział Sebes. Petöfi przyglądał się długo z daleka.

— Niby ten z czarną pręgą i tamten z urwanem uchem — rzekł wreszcie.

— Nie złe piechury — pochwalił wybór Sebes. — Czekaj zaraz ci ich dostawię... — odwinął z jednego ramienia płaszcz, zamachnął się, czekan wyfrunął mu z ręki, przeleciał ponad trzodą i utkwiał obuchem w czaszce jednej z dwóch sztuk wskazanych. Zwierzę upadło, inne cofnęły się odeń ale nie spłoszyły. Duży pies zjawił się natychmiast, podbiegł kłusem do obalonego, chwycił czekan zębami i odniósł Sebesowi. Manipulacja powtórzyła się natychmiast dla drugiej sztuki sprzedanej. Potem nowy okrzyk wywołał ruch wsteczny, w chwilę polana została opuszczoną, dwie tylko sztuki leżały na niej. Z kotliny w zaroślach buchała już parą woda z wrzącego kotła przygotowanego przez Janosa w zwykłym miejscu. Petöfi i jego parobek zabrali się do roboty, Szandor siedział przy nich na wzgórzu, konie jadły trawę na polanie. Prędko bardzo skończono przygotowawczą

część roboty; dwa starannie oporządzone egzemplarze leżały na wozie nakryte i związane, Janos popakował napowrót naczynia. Potem psy zbiegły się ze wszech stron na świńnięcie i zajęły uprzążaniem odpadków. Sebes, drugi kanasz nie wiadomo zkąd zjawiony i trzech goście zasiedli przed dymiącą się misą ogromną, pełną drobno pokrajaną wieprzowiny zaprawionej młóstwem cebuli i papryki. O kilka kroków czerniła się chata z gałęzi pomiędzy dębami urządzona, zupełnie na taki sam sposób jak niedźwiedz swoją kryjówkę na zimę urządziła.

Scutura flasza drewniana obeszła wszystkich, każdy ją do ust przyłożył, przychylił, potrzymał chwilę i sąsiadowi oddawał, ocierając wąsy.

— A ty nie Madziar! — zawołał Sebes, gdy Szandor cofnął się od flaszki, więc i on ją do ust przyłożył ale natychmiast odsunął znowu, bardzo mocne tam wino było.

— Roch roch roch, chrup chrup chrup!... — chrzęścił las bukowy jak długi i szeroki.

— Stuk stuk, brzęk brzęk!... — odpowiadały mu łyżki trącające o miskę w rękach biesiadników. Po zaspokojeniu głodu zagryzono chlebem i pociągając z flaszki Petöfi mówił:

— Nieraz ja przed tą chatą i w niej jadałem, i dwie soboty temu również tu byłem, ale z dawien dawna Pal (Paweł) tutaj mieszkał przy stadzie, a zkądże się raptem Sebes wziął i co się stało z Palem? To dobry chłopak!

— Bardzo dobry, to też zamienił się ze mną na miejsce choć się tu już przyzwyczaił, ale mnie tam za strumieniem dokuczali okrutnie pandury...

— Pandury? (żandarmi) albo to już zbroiłes co takiego że aż żandarmi chcą z tobą zawrzeć znajomość?

— Wcale nie; ja mam trzodę powierzoną sobie pod liczbą i gdy kto kupi jaki kawałek, to pieniądze wiernie oddaję właścicielowi trzody, tak jak oddam i twoje, Petöfi. Ale ktoś powiedział w mieście że Sobri jeden z kanaszów, sprzedawał tam potajemnie wieprzaki z powierzonej mu trzody, na własną korzyść, właściciel trzody nasłał na niego pandurów, ci go wsadzili do więzienia, już rok siedział, a na mnie powiedzieli że mu pomagał i mnie chcą uwięzić. Ale mój właściciel powiada „dajcie mu pokój, mnie mój kanasz Sebes nic nie ukradł”. Więc umówiłem się z Palem żeby się na miejsce pomieniać i pandurom w głowach pomścić, bo tam gdzieś pasał poprzednio, ciągle mi się koło nosa włoczyli... podpatrując co robię...

— Spożywajcie zdrowo! — zabrzmiał w tej chwili głos poza rozmawiającymi: wszyscy podnieśli głowy: dziesięciu żandarmów uzbrojonych od stóp do głów stało koło chaty, wyszedłszy z poza niej wyraźnie.

— Nie, nie mogli słyszeć — mruknął Sebes w odpowiedzi na przerażenie spojrzenie Petöfięgo, zmierzyszy wprawne okiem odległość między sobą i nowoprzybyłymi. Wstał podnosząc i rozciągając swój płaszcz. W las! — szepnął jednocześnie do swego towarzysza kanasza.

— Dziękujemy! — odparli biesiadujący na powitanie żandarmów. Kanasz tymczasem zamaskowany płaszczem Sebesa padł na ziemię i na czworakach przemknąwszy się pomiędzy osłupiałym Szandorem i Janosem znikł w pobliskich zaroślach.

— Co wy za jedni, poczciwi ludzie — pytał uprzejmie starszy żandarm — wybaczcie że pełniąc swój obowiązek muszę się nieraz uprzykrzyć najporządniejszym ludziom ściągając nicponi.

— Ha, cóż począć gdy taki już jest porządek na świecie, ja jestem Pal, z dawien dawna pilnujący tutaj wiernie pańskiej trzody, a oto scutura pełna możebyście pociągęli z niej panowie? — I podawał Sebes flaszkę, która też poszła z rąk do rąk między żandarmami.

KORKOWE DRZEWO,

(ze wspomnień młodości).



różno się ludzi, ta choroba jakaś przedłuża się; nieszczęście padło na mnie widocznie; zginę z pewnością w tej Hiszpanii; nie ujrzę więcęj rodziny i rodzinnego kraju — powiedziałem sam do siebie, siedząc skurczony na ziemi u stóp pomarańczy i trzęsąc się z chorobliwego zimna, pomimo że ogniste promienie słońca oblewały mię całego swym żarem. Rzęsiste łzy potoczyły mi się po twarzy i spadły aż na drżące ręce.

— A ty czego płaczesz? — zapytał Antonio, stając przedemną w dumnej postawie, jedną ręką podparty w bok, drugą zarzucając na ramię

w malowniczy sposób poję ojcowskiego płaszcza, podartego tak, że ledwo łachmany i strzępy trzymały się razem.

— Płacę, bo czuję że pewno nie ujrę już tych których kocham.

— Niejeden choruje i wyzdrowieje.

— Tak, jeżeli ma lekarstwa i jeżeli ma przytem cośkolwiek jeść i dach nad głową; ale ja resztę już pieniędzy oddałem twojej matce, a wy sami tacy biedni jesteście że nawet dziwił się nie będę, gdy mi odmówicie kąta i pożywienia.

Antonio podrapał się w głowę okrytą gęstą czarną jak smoła, nieczesaną chyba nigdy czupryną.

— Wiesz co — rzekł po namyśle — a gdybyś ty się zabrał do pracy?... dostałbyś za pracę pieniądze...

— Chętniebym pracował, ale widzisz że chory jestem, nie mam siły, a przytem tu u was niema roboty.

— Jakto niema?... dopiero co przed chwilą prosił mię dyrektor z korkowej fabryki do skrobania kory, bo mu strasznie robotnika brak... Ale ja nie chcę, co mi za niewola pracować, kiedy matka jeszcze ma resztę twoich pieniędzy... — i to mówiąc brudny próżniak, jakich dużo jest wśród nieoświeconego i przeto pogrążonego w nędzy hiszpańskiego ludu, rozciągnął się koło mnie na ziemi, rozkoszując się w słońcu.

— Do skrobania kory?... cóż to jest za roboty?... możebym ja mimo osłabienia mógł to robić? — zapytałem ożywo-

ny nadzieją, bo dotąd pewny byłem, że nędza ludności miejscowej pochodzi z braku zarobku. Zwlokłem się jak mogłem i wspierając się na poczciwym w gruncie, mimo wielu wad chłopcu, dowlokłem się z trudnością do domostwa w którym niepodobna było z pozorów domyślić się fabryki. Robotnika był taki brak, że przyjęto mię chętnie mimo choroby, która też od tej pory przechodzić zaczęła, może pod wpływem moralnego uspokojenia. Z początku siedziałem tylko, i stosownie do udzielonych mi wskazówek skrobałem kawały kory, wymoczonej wprzód ku temu odpowiednio. Celem takiego skrobania jest zdjęcie grubszej powłoki z właściwego korka. Nie ciężka to była roboty i drżące moje ręce mogły jej poddać, zwłaszcza gdy konieczność i nadzieja przyszły im w pomoc. Następnie korę korkową zeskrabaną gotowano w dużych kotłach, a potem prasowano w prasach, dawnymi zaś czasy wędzono ją jeszcze w dymie. Przystosobiony tak towar rozdzielano na kilka gatunków, pakowano w beczki i wysyłano w drogę. Gdy wyzdrowiałem chodziłem z innymi do lasu obdzierać korę. Trzeba wiedzieć że drzewo korkowe czyli korkodąb (*Quercus suber*) rośnie prawie jedynie tylko w Algierze, Portugalii i Hiszpanii; w Europie środkowej już nie daje się przyswoić. Z drzew tych dopiero gdy mają około 30 lat istnienia, zdejmuje się pierwszy raz korę, ale używa jej się tylko na różne galanteryjne wyroby, bo na korki jest jeszcze niezdatna. Dopiero po zdjęciu tej pierwszej kory, wytwarza się prawdziwa biała kora korkowa a to z tak zwanego *cambium* znajdującego się pod tamtą pierwszą, którą z wielką ostrożnością zdejmować trzeba aby tego *cambium* nie psuć. Ta biała druga kora musi jeszcze wytwarzać się i dojrzewać na drzewie przez lat około czterysta w Hiszpanii i Algerze a od ośmiu do dziesięciu w Portugalii, i wtedy się ją dopiero obdziera. Na taką robotę posyłano nas kilka razy w miesiącach letnich od maja do września. Jak to widać na danej tu rycinie, robiliśmy podłużne nacięcia na metr blisko szerokie na pniach drzewnych, a potem odrywaliśmy z wolna te pasy kory długie pod miarę, pomagając sobie rękojeścią toporów. Pokazywano mi drzewa, które blisko od 150 lat bywają tak obdzierane, ale to już ich wiek najdłuższy. Wiek drzewa wpływa na wartość kory; po zdjęciu układaliśmy ją w wielkie stopy, wiązali i wieźli na mułach do fabryki. Najlepszy korkodąb rośnie w Katalonii, jest bardzo drogi i używa się tylko do wina szampańskiego; z Algeru przychodzą korki do wina i do wód mineralnych.

Uzbierawszy sobie trochę grosza w fabryce naszój, prosiłem aby mię posłano do Niemiec z jednym z wozów pełnych towaru zapakowanego w beczki i rozsyłanego na wszystkie strony świata. W Niemczech dużo jest fabryk korkowych. Dostawiwszy materyał nasz do fabryk niemieckich, pozostałem tam znowu jako robotnik, aby sobie więcęj grosza na drogę do domu zbierać, do którego już znacznie bliżej mi było. Robotnik każdy ma za jedyne narzędzia dwa ostre szerokie noże, jednym kraje deskę korkową w pasy i w kostki, drugim zaokrągla te kostki i kształt im właściwy nadaje. Cała sztuka na tem zależy aby z danej ilości kory wykrajać jak najwięcej korków, a jak najmniej zostawić odpadków. Niektórzy moi towarzysze wykrawali dziennie do 1,500 korków, ja najwyżej mogłem 1,000 wydołać. Wielu bierze robotę do domu, gdzie żona obrabia mniejsze korki a dzieci obrabiają maleńkie zgrabne koreczki do lekarstw, co trudno byłoby robić dorosłemu człowiekowi o grubych palcach. Próbowano używać maszyn do roboty korków, ale okazało się to niemożliwym, gdyż każdy kawałeczek trzeba koniecznie oglądać i obrabiać odpowiednio do jego jakości; jednakże, przy wyrobie na bardzo wielką skalę najprostszych korków butelkowych, używa się maszyn do krajania, ale tylko do krajania; obrobić każdy kawałek musi już koniecznie ręka ludzka. Następnie w fabryce przesiewaliśmy korki przez odpowiednie sита, aby dobrać jednakowej wielkości, potem wybierano się je trzykrotnie, dzieląc na gatunki. Tylko korków do szampańskiego wina nie robiliśmy wcale, bo te wyrabiają się w Hiszpanii i we Francji, a właściwy swój kształt nabywają przez przymocowanie do butelki. Drzewo korkowe potrzebne do najlepszego wina szampańskiego jest

bardzo rzadkie i drogie, i przeto we Francji bywa składane z kilku wyborowych kawałków sztucznie spajanych i korki z nich się dopiero wykrawają.

Wiadomo że z drzewa korkowego wyrabiają się także pasy ratunkowe, pływaki do sieci, podeszwy i t. p. Architekt August Rosa żyjący w Rzymie w zeszłym wieku, wynalazł także sposób używania korkowego materiału w zastosowaniu do swój sztuki. Jest to tak zwana *felloplastyka* i zasadza się na odtwarzaniu z korkowego drzewa, w pomniejszeniu

oczywiście, różnych pomników budownictwa starożytnego, greckiego i rzymskiego. W Monachium istnieje wielki zbiór takich właśnie modeli felloplastycznych.

Przemysł korkowy rozpowszechnia się i wzrasta, jest źródłem wielkiego bogactwa i prawdziwym ubłogosławieniem dla licznych robotników znajdujących chleb przy coraz liczniejszych fabrykach. I ja, korkom jedynie zawdzięczam że dotąd żyję i że żyję, tam gdzie się urodziłem.

Aureliusz.



Drzewo korkowe.

PAMIĘCI MARYI JULII ZALESKIEJ,

Z dzienniczka **Janka sieroty** przepisała **Z. U.**

Odeszła od nas łagodna i cicha,
Jak kosa żenca skoszona roślina,
Która bez skargi wędnie i usycha —
Lub jak ptak długą podróżą znużony,
Co za spoczynkiem tęsknić już poczyna,
Tak ona w lepsze odleciała strony.

I dzieciom było, jak gdy gwiazdka zgaśnie
Nagle na niebie, lub anioł odleci
Co strzegł łóżeczka — i dziecko gdy zaśnie,
Sny miewa przykre, lęka się i płacze,
A serce niby w pisklęciu, kołaczce,
Kiedy mu gniazdo strąci dłoń psotnika,
Albo schwywane do klatki zamyka.

Rybka w strumieniach i kwiatki na łące
Już nie tak barwne, ni takie pachnące
Jak były dawniej — jak wtedy gdy ona
Bożej nam ręki wskazując znamiona,
Mówiła o nich, że kwiatek choć mały,
Cudem jest równie wielkim, jak świat cały.
Pan Bóg się musiał na dzieci pogniewać,
Bo ptaszki nawet zapomniały śpiewać,
A głązy niegdyś wymowne jak księgi,
Gdy dłoń Jój ksiąg tych odwracała karty,
Nieme dziś stoją, i nie chcą już z nikim
Swoim kamiennym rozmawiać językiem.
Ruchliwe polnych koników zaprzęgi,
Wojska motyli, żabek nocne warty,

Wszystko posępne, łekliwe, spłoszone
 Jakby na słońce kto spuścił zasłonę.
 Odkąd ją w zimnym położono grobie,
 Wszystko jak gdyby chodziło w żałobie,
 Kwiaty, robaczki, kamienie, zwierzęta,
 Każde się smuci i o niej pamięta.

Siostrzyczki, bracia, chodźmy na zagony
 Gdzie po niej bujne zostało pokłosie;
 Gdzie był trud wielki, będą wielkie plony,
 Zbierajmy kłosa — każde zaś niech słuca,
 Co złoty kłosek powie mu do ucha,
 A wnet ją wszyscy poznamy po głosie.
 I choć odeszła, pozostanie z nami —
 I choć daleka, będzie zawsze bliska
 Sercom swych dzieci, kiedy z jej książkami
 U rodzinnego zasiędiem ogniska.

Nie trzeba płakać, ani w inne światy
 Posyłać tęsknot za tem co nie wróci:
 Kto ją tu kochał, niech na grób Jęj rzuci
 Dobrych uczynków niewiedzące kwiaty.

Dębowa Wola d. 31 Grudnia 1889 r.

POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

— Czy też woda tój rzeczki dobrą jest do picia? — spytał Tomek.

— Sądzę że lepiej będzie poczekać, aż napotkamy źródło — odparł Melchior. — Daby Simon poszuka nam też równocześnie jakiego miejsca, gdziebyśmy się mogli zatrzymać na obiad.

— Nie wiem o żadnym zdroju w tój okolicy — odpowiedział przewodnik — ale co się tyczy obiadu, to jest o jakie dwanaście mil ztąd pewien stary klasztor z dwoma ogromnymi salami i z pięknym ogrodem, gdzie doskonale nam będzie spocząć; nie mieszka tam nikt prócz duchów.

— Próczonego? — spytał Tomek.

— Duchów... no niby upiorów, takich nieszkodliwych, które pilnują skarbów, jakie tam mnichy niegdyś zakopali. Ale nic a nic złego nam się tam przez jedną noc nie stanie.

— Jest tam woda zdatna do picia przy tym klasztorze? — zapytał Melchior.

— Tak kapitanie, doskonale to miejsce do obozowania; tylko, nie wiem czy ci dwaj mali zajść tam zdołają.

— Proszę! doprawdy tak myślisz? — zawołał Tomek.

— Aj jakbym ja też chciał zobaczyć ducha! zarazbym go poprosił żeby mi pokazał gdzie jest skarb zakopany! — rzecze Menito.

— Kapitanie — szepnął Daby Simon — lękam się żeby ten trzpiot nie ściągnął na ciebie nieszczęścia. Trzeba czuwać nad nim gdy tam przyjedziemy, bo te widma nie lubią żeby z nich żartowano.

Śmiejąc się z obawy przewodnika, podróżni szli dalej. Droga ciągnęła się pod górę i była coraz trudniejsza do przebycia i bardziej kamienista. Nic już nie wskazywało bliskości oceanu, oprócz orłów morskich, unoszących się w powietrzu.

— Musi tu być dom mieszkalny w pobliżu — rzekł Tomek — czuję zapach pieczonego chleba.

— Nie, to obozowisko indyjskie — odpowiedział przewodnik. — Spójrz ot tam, a dym ogniska zobaczysz. Indyjanie tutejsi nie mają zwyczaju domów budować; sypiają w ha-

makach zawieszając je u drzew, które w ten sposób za dach im służą.

— A więc są to pomieszkania, do których wystawienia nie potrzeba, ani mularza ani budowniczego — zauważył Tomek.

Zbliżywszy się, ujrzeni dziecko w łachmanach a z głową kędzierzawą, biegnące ku nim.

— Dajcie miedziaka! dajcie pieniążk jeżeli łaska, jeżeli łaska, ja będę bardzo dobry!... — zaręczało żebrząc wyciągniętą ręką.

— Na masz pieniążk, a powiedz gdzie jest twój ojciec? — rzekł Tomek, dając mu miedziany pieniążek.

— Ojciec jest tam, za tem drzewem, obdziera wężyka na wieczerzę — rzecze malec oblizując się łakomie.

Ów „wężyk” był to najprawdziwszy wąż boa, zawieszony na potężnej gałęzi. Indyanin kończył go obdzierać; Tomkowi słabo się zrobiło na myśl o takiej wieczerzy.

— Jakimże sposobem potrafiłście zabić takie straszliwie okropne? Czy macie strzelbę? — zawołał Melchior zdumiony.

— Nie, senor, nie stać mię na strzelbę; ja go *tem* zabiłem — rzekł Indyanin, wskazując łuk zrobiony z drzewa. Całe urządzenie chaty zmieściłoby się w proste taczki. Hamak zrobiony był z materyału podobnego do worków na kawę, a sprzęty składały się z kociołka żelaznego i dwóch rozszczepionych kijów. Stara matka *skwawa*, jak zowią Indyanie piekła na wieczerzę słodkie żołędzie z pewnego rodzaju dębu, rosnącego obficie w lasach amerykańskich. Smakiem owoc ten zbliża się do kasztanów; probowano nieraz robić z niego mąkę, woń tych pieczonych żołędzi zwiadła właśnie Tomka.

Przy hamaku wisiało ze dwadzieścia szarych wiewiórek.

— Patrzaj kapitanie — rzekł Menito — oni mają także i małpkę bardzo ładną, czy nie możnaby jęj kupić? — dodał wskazując małe zwierzątko o czarnem futrze lśniącym, i z żywymi, dowcipnymi oczyma, które mały Indyanin pieścił i przycisnął do piersi.

— O mój wuju nie kupuj jęj — zawołał Tomek — patrz tylko jak ten malec kocha swą małpkę, on może niema innęj uciechy na świecie!

— No, a więc mu ją pozostawmy — rzekł Melchior z uśmiechem.

Słońce znikło już za pagórkami w południowo-zachodniej stronie, gdy podróżni ujrzeni zdaleka zwaliska starego klasztoru. Wznosiły się one na szczycie skał wapiennych, na które muł wstępował z pewną trudnością; ale Daby Simon słusznie powiedział, że miejscowość była doskonałą na obozowisko. Przed głównym budynkiem był taras szeroki i mały trawnik zarzucony potrzaskanymi kamieniami, na których doskonale było siedzieć. W ogrodzie zarosłym figami, cytrynami, były dwa śliczne zdroje, które w połączeniu trochę niżej tworzyły ładny strumień. Ponieważ wieczór był piękny, zatem kapitan postanowił nocować pod gołym niebem; a zamiast zwykłej herbaty, zadowolono się wyborną limonadą. Po długiej i spiesznej podróży, wędrowcy bardzo ucieszyli się z tych rozporządzeń i nie byłiby zamienili swego noclegu na nocleg w królewskim pałacu.

Limonada tak smakowała, że przewodnik musiał poraz drugi iść do zdroju po nowy zapas wody. Bawił jakoś długo, aż wtem usłyszano głos jego u stóp tarasu, zdawał się z kimś rozmawiać.

— Ah — krzyknie Menito — niegrzeczny jesteś panie Simon, jeżeli spotkałeś się z widmem, to powinienes nas o tem zawiadomić, abyśmy także mieli udział w skarbie.

— Będiesz ty cicho ty mały urwisie — odpowiedział przewodnik — ja się spotkałem tylko z panią Yegua, wdową mieszkającą w tamtym ot małym folwarczku. Spotkalimy się u zdroju. Wejdz na taras pani Yegua!

— A to co? jakaś „pani” w pustyni! zawołał Tomek.

A w tem osobistość, którą przewodnik „panią” nazywał, ukazała się na tarasie. Dziwna to była osobistość. Za całe ubranie miała koszulę bez rękawów, ale z rodzajem kaptura, której dowolnie naciągał się na głowę, lub z niej zsuwał. Była zaś tak chuda, że łatwo można było wziąć ją za oczekiwane widmo. Na jej widok kasztan zaczął głucho mrużyć. Ona zaś zbliżyła się do wędrowców i ścisnęła za rękę każdego, pytając jak się mają? jakby ich znała od dawna.

— Mój zdroj — dodała — wysechł tego roku, tak jak i przeszłego, przypominacie sobie zapewne, przychodzę więc po wodę do tutajszego. Bardzo się cieszę, że was w dobrym zdrowiu oglądam.

— Czy raczysz wieszczę z nami pani Yegua? — zapytał kapitan.

— Nie, dziękuję — ale jeżeli byłbyś tak grzeczny że chciałbyś mi przysłużyć wyrządzić, to prosiłabym cię o pożyczanie mi tego chłopca, jutro rano na dwie godziny — dodała wskazując na Menita.

— I owszem — odpowie Melchior — a cóż z nim zrobisz?

— Zaraz ci powiem: oto w lasku tuż przy mojem mieszkaniu jest cała gromada małp, które mię rozumu pozbawiają. Wczoraj wdarły mi się do stodoły i dzisiaj także. Gdybym miała zwinnego chłopaka takiego jak ten, skryłyby się za drzwiami i moglibyśmy pochwycić te rozbójnice!

— A czy dasz mi pani te małpy które złapię? — zapytał mały Meksykanin.

— Tak, ale czy ty im nic złego nie wyrządź?

— Nie, ale cóż to panią obchodzi?

— Widzisz, przecież to są jedyni sąsiedzi, więc nie chciałabym, żeby im dokuczano.

— A jeżeli pani sama ich schwytaasz, to cóż z niemi zrobisz?

— Zamknę i dam im jeść. Na swobodzie rabują dzie sięć razy więcej niż spotrzebować mogą. Nie mają one żadnych zasad i nie znają rzędności.

— Bardzo dobrze, pani Yegua — rzekł śmiejąc się kapitan — pożyczę ci jutro Menita na tak długo, jak ci będzie potrzeba.

— Tylko przyslij go pan wcześniej jeżeli laska, a już my we dwoje nauczymy rozumu moich sąsiadów.

Nazajutrz o świcie wyprawiono Menita, na folwark starą Meksykanki, a potem objuczwszy muła, kapitan i jego dwaj towarzysze udali się za nim w tę samą stronę, aby widzieć w jaki sposób rozstrzygnie się sprawa właścicielki, z jej sąsiadami.

— Menito jest tam.. za drzwiami — rzekła pani Yegua, pokazując palcem mały budynek w rogu zbożowego łąnu. Zamknie on je natychmiast jak tylko małpy wejdą, ale aby tam weszły, muszą widzieć mię tutaj.

Skierowała się, kulejąc ku drzewu, na którym gromada małp zdawała się zajęta naradą wojenną, wrzeszcząc jedna przez drugą, gdy tymczasem kilka z nich mrużało i jęczało jakby niecierpliwie się tą zwłoką.

— Otóż zobaczyły mię już teraz — rzekła pani Yegua, doszedłszy do drzewa — na to one czekały. Co do mnie, poznaję ich obecność tylko po szczebiocie; bo wzrok mam bardzo słaby.

Małpy zdawały się to rozumieć i wiedzieć, bo zachowały się względem stariej kobiety jak gromada małych uliczników względem policyanta. Szły za nią w niejakię odległości, machając ogonami wzniesionemi jak szyszaki nad głową, wykrzywiając się i gesta najśmieszniejsze wyprawiając za jej plecami, aż nareszcie jedna z największych, z kiciastym ogonem skoczyła prosto do stodoły, jakby chciała rzec przez to do towarzyszek:

— Wchodźmy! ona już odeszła!

Siedm ich poszło za tem wezwaniem; ale pierwsza usiadła na progu, czuwając wyraźnie nad tem co działo się i wewnątrz i zewnątrz stodoły. Upłynęło pięć minut czasu

a mrużenie pełne zadowolenia, pochodzące z głębi stodoły dowodziło, że rabusie zajęci byli śniadaniem.

— Dla czegoż ten Menito nie zamyka drzwi? — spytał Tomek — przerachuje się i sposobność minie jeżeli będzie czekał aż i ten grubas wlezie do stodoły.

Ale gruba małpa wcale nie zabierała się zejść ze stanowiska. Wsparta o drzwi i usiadłszy wygodnie, zaczynała się głaskać rozkosznie, zapewne z uciechy że tak dobrze poprowadziła wyprawę na stodołę, gdy nagle skutkiem gwałtownego uderzenia w plecy, wyleciała aż na środek drogi, jak kamień z procy, a drzwi zatrzasnęły się za nią z piorunującym hukiem.

— No, teraz Menito dobrze się sprawia — rzekł Tomek gniewny na małpy, dokuczające bezbronnej stariej kobiecie.

Małpa wyrzucona ze stodoły uciekła do poblizkiego lasku, wyjąc i jęcząc przeraźliwie. Tymczasem rozkoszne mrużenie śniadających w stodole, zamieniło się w pomieszane jęki, wśród których wyróżniały się piskliwe skargi małej małpy z gatunku saki.

Kapitan i jego towarzysze przystąpili do stodoły idąc z pomocą młodemu chłopcu, walczącemu w niej z małpami. Ale on usłyszawszy ich, zawołał:

— Strzeżcie się drzwi otwierać! tylko prędko podajcie mi jakie widły, albo choć mocny kij rozszczepiony: trzeba je najprzód schwytać!

Tomek pobiegł do domostwa po widły, a kapitan przez szparę zajrząwszy do stodoły, ujrzał pięć małp z gatunku sapażu, skupionych razem i usiłujących gwałtem wpakować się w dziurę wyrwaną w podłodze. Malutka zaś małpka saki biegała na około ścian stodoły, krzycząc przeraźliwie, aż zatrzymawszy się nagle porwała kłos zboża i jadła go z gorączkowym pośpiechem, jakby postanowiwszy się najeść porządnie przed zgonem; poczem znowu zaczynała biegać i krzyczeć.

Gdy podano widły, dopieroż rozpoczęła się ogólna galopada niesłychanie ożywiona; ale młody Meksykanin zanadto żwawym był chłopakiem, aby taka sprawa mogła trwać długo. W pięć minut, pięciu większych jegomościów schwytanym jeden po drugim widłami, dokończyli skocznej galopady w dobrze zawiązanych workach, a malutka saki leżała w kącie, udając, że omdlała z rozpaczy, uwiązana na długim sznurze. Małe to licho nie dało wszakże za wygraną i nie wyrzekło się wolności, i ledwo kapitan i wdowa weszli do stodoły, skoczyło w objęcia meksykańskiej damy, pieszcząc się z nią i twarz swoją do jej twarzy przytulając, a skomląc przytem rozpaczliwie i żałośnie, jakby najserdeczniej prosiło; ale wdowa podburzona przez kapitana nie dała się wzruszyć.

— Gdzież je zawieziecie? — spytała, gdy małpy umieszczono już w mocnych kłatkach na mułe.

— Najprzód do Europy, potem do Londynu, gdzie ci więźniowie będą mieli zaszczyt być przedstawionymi władzom i publiczności miejscowej.

— Do Europy? Do Londynu? to musi być gdzieś bardzo daleko? — spytała biedna staruszka.

— W istocie niezbyt blisko! — odpowiedział śmiejąc się Tomek.

— W takim razie, zegnajcie mi moje chłopczątka — rzekła dobra kobieta ściskając po angielsku serdecznie długie ręce małp, wyciągnięte do niej przez kraty klatki. Bardzo mi przykro, że do tego przyszło, ale to nie moja wina, ostrzegałam was dosyć często.

W ten sposób rozstano się z panią Yegua. Małpy nie zdawały się wcale tą rozłąką wzruszone. Zajęte były niezmiernie rozglądaniem się w klatce, sądząc podobno, że ponieważ los je w niej ulokował, zatem należało uważać ją za swoją własność, i osiedlić się jak u siebie. Pręty klatki były dosyć rzadkie, jedna z małp zdołała więc ku ogólnemu rozweseleniu, wyciągnąwszy długą rękę i wychyliwszy się, pociągać muła za uszy raz po raz. Ale trudno było dostrzedz, która mianowicie dopuszczała się tej swawoli, bo za ledwo ktoś zwrócił na nie oczy, już wszystkie przybierały

takie skromne i potulne minki, że nie podobna było poznać winowajcy.

Kasztan był właśnie na jakimś polowaniu na własny rachunek, ale gdy powrócił, zaczął szczeekać i drażnić małpy. Mała saki zaraz odpowiedziała piskliwym wrzaskiem, a wszystkie sapażu, gwałtownym szczebiotem, jakby jakie najkłótlwsze kumoszki w wielkim gniewie. Potem widząc że nikt im tego nie broni rozpoczęły na dobre straszliwe właściwe sobie bezustanne paplanie, z nieopisaną szczebiotliwością, podnosząc ogromną wrzawę, zwłaszcza, gdy co nowego i nieznanego zobaczyły w podróży.

Po południu, gdy dochodzono do lesistej równiny wrzawa ta ustała nagle i wszystkie małpy zwróciły głowy w jednokowym kierunku. Musiało przybywać z tamtąd coś dziwnego. W istocie z doliny po lewej stronie dolatywało echo dziwnych jakichś dźwięków, jakby w wielkiem oddaleniu ze sto psów szczeekało na raz, albo też jęczało wspólnie przeciągłym jękiem.

Menito powstrzymał muła.

— Słuchajcie — rzekł — słyszycie te psy?

— Psy nie takby szczeekały — rzekł Tomek — to coś innego, może pantera?

— Nie, Menito ma słuszność — odpowiedział przewodnik. — To gromada psów dzikich poluje na daniela lub bawołu. Mamy przed sobą to polowanie, jak sądzę.

— Spieszmy a dowiemy się co to takiego — zawołał Menito.

— Nie—odpowie przewodnik--zatrzymajmy się wprzódy pod temi morwami; godzina obiadowa nadchodzi, a tam jest źródło jedyne z dobrą wodą w tej okolicy.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Żona prezydenta rzeczypospolitej francuzkiej, pani Carnot, urządziła w wigilią Bożego Narodzenia w parku Elizejskim, gwiazdkę dla ubogich dzieci. Przywiezione omnibusami przez merów odpowiednich okręgów do pałacu, dzieci były najpierw na przedstawieniu teatru maryonetek w nowej sali zabaw. Następnie pani prezydentowa poczęstowała je czekoladą i ciastami, poczem nastąpiło rozdanie podarunków. Cztery choinki ubrane zabawkami i wstążkami trójkolorowemi stały w sali, sześć zaś w cieplarni; gdy je zapalono rozdano między dzieci upominki. Oprócz lalek, fuzyi, ubrania i łakoci, każde z nich otrzymało książeczkę z kasy oszczędności z wkładem 10 fr. i napisem: „Podarunek od p. Carnot, prezydenta rzeczypospolitej” tom dzieła *Bibliothèque d'éducation maternelle* i koszyczek do zabrania upominków.

Lalka fonograficzna, to jest mówiąca za pomocą odpowiedniego przyrządu, dar Edisona dla małej księżniczki Elżbiety, córki zmarłego następcy tronu austryackiego, o której już wspominaliśmy poprzednio, spóźniła się z przybyciem do Europy na gwiazdkę. Lalka ta według życzenia cesarza Franciszka Józefa za nakręceniem odpowiedniej ukrytej w niej sprężyny, ma powtarzać wierszyk wigilijny, napisany przez księżniczkę Maryą Waleryę, najmłodszą córkę cesarza.

ZADANIE KONIKOWE.

dzba	nią	z ja	się	nie	wa	ście	je	nie
mi	co	sie	drze	go	dzie	sie	o	wa
przed	nek	i	ma	sta	na	da	nek	kto
ga	da	przy	po	nic	pa	nie	i	mi
z ja	się	trzy	ło	*	brzo	nie	się	dzba
je	bo	go	więc	ma	dech	trzy	bo	las
ją	chym	kła	za	w ko	wa	zo	dzie	śmie
dla	śmie	sie	ci	mi	las	cze	ście	rów
le	nia	a	się	dziew	wym	ka	je	i

SZARADA.

(od Gołąbki pocztowej dla Sasanki).

Pierwsze na wspan — karta będzie
Drugie płynie w naszej ziemi,
Drugie trzecie znane wszędzie,
 W pewnej porze jeździm niemi.
 A *wszystko* wiosenne kwiatki,
 Nie bławatki, ani bratki.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 2-go.

Szarady:

Kuropatwa.

Rebusa:

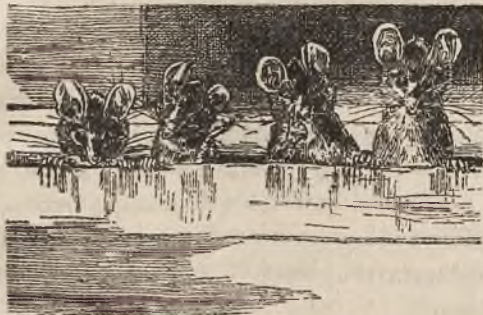
Łaska pańska często na pstrym koniu jedzie.

PRZEGLĄD PEDAGOGICZNY

zamieszcza praktyczne wskazówki o wychowaniu fizycznym i moralnym, sposoby bawienia i zajmowania dzieci, lekyce wzorowe z różnych działów nauki, wiadomości o nowych podręcznikach do nauki szkolnej i domowej etc.

Kosztuje kwartalnie w Warszawie rs. 1 kop. 50, na prowincyi rs. 1 kop. 75. Przedpłatę przyjmuje księgarnia Gebethnera i Wolffa, tudzież inne księgarnie miejscowe i na prowincyi. 1—3

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Korkowe drzewo, ze wspomnień młodości, (z drzew.) — Pamięci Maryi Julii Zaleskiej, wiersz p. Z. U. — Poszukiwacze dzikich zwierząt. — Rozmaitości. — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Nieposłuszne panny Myszowińskie (z drzew.) — Gdzie ptaszkom najlepiej, wiersz. — Uroczystość w Wieliczce, (list do Gołąbki pocztowej). — Łamigłówni i rozwiązania — Skrzyńka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.



wdrapały się na brzeg niecki i patrzą...



Kot skoczył...

Nieposłuszne panny Myszowińskie.

W skromnej spiżarni pani Gertrudy, żyły sobie cztery panny Myszowińskie z babcią Myszowińską, pracując skrzętnie z dnia na dzień nad zbieraniem ziarenek kaszy, odrobinek chleba i t. p. okruszynek, jakie kucharka przypadkiem upuściła, wybierając zapasy na codzienny użytek.

Nie czyniąc nikomu krzywdy nie były też przez nikogo napastowane i żyły światu i kotom nieznane, dopóki nie odebrały wiadomości o chorobie krewniaczki, której pułapka ucięła kawał ogona. Ponieważ wszystkie nie mogły opuszczać codziennej pracy, zatem, najstarsza tylko podążyła chorą z pomocą. Była to pierwsza wycieczka panny Myszowińskiej w świat w jej cichem dotąd życiu. To też uczyniwszy co było można dla poratowania krewnej, powróciła pełna uwielbień dla niewidzianych dotąd dziwów. Opowiadaniom nie było końca.

— Czy myślicie — mówiła — że w zamożnej tamtej spiżarni żywią się myszy pojedynczo upuszczonymi okruszkami, tak jak my tutaj? O nie! tam stoją zupełnie nienakryte ogromnie głębokie niecki, w których suszy się mąka, kasza i różne specjały, wchodzi się tam i używa do syta a potem jeszcze mnóstwo zapasu niesie do domu na całym futerku!

— Ależ w takim razie, to szaleństwo jest siedzieć tutaj pracując w biedzie, kiedy tam można we wszystko opływać! Chodźmy tam natychmiast! — zawołały młodsze panny.

Nie pomogły odradzania babci i uwagi jej o spokoju i bezpieczeństwie przy pracy. Cztery chciwe dostatków siostry, natychmiast podążyły do owej sławnej z zamożności spiżarni, wdrapały się na brzeg niecki i patrzą: Cóż tu mąkil... Myszowińskim zawróciły się głowy od widoku tego bogactwa tak, że ani się obejrzały, ani pomyślały że przy takich skarbach, musi być przecież jakiś kot podskarbi... a przecież kocia głowa wyglądała tam z kąta... Dopiero gdy zapominając o ostrzeżeniach babki cztery siostry skoczyły na łebki w mąkę tak, że tylko

ogony były im z niecki widać, kot skoczył także!... Niestety! nieszczęsna babka nie ujrzała więcej nieposłusznych wnuczek, zginęły wszystkie!

GDZIE PTASZKOM NAJLEPIEJ.



onad polem ponad borem.
Ulatuje ptaszka para
Skłopotana jakimś sporem
Poswarzona parka szara.

Wciąż świegocą wraz
[oboje,
Arzecz idzie o gniazdeczko,
Gdzie je słać? by niepokoję
Nie przykrzyły się dziatki
[czkom.

— W głębi lasu—woła jedno.
— W szczerem polu—drugie
[woła.

— Jastrząb porwie dziatwę biedną!
— Lisów pełno dookoła!

Toż i wilk na ptaszę czyha
I wiewiórka nawet mała...
Choć ptaszyna taka licha
Wrogiem jej dąbrowa cała.

Oj co czynić na tym świecie
Gdzie tu kącik znaleźć taki,
Byśmy spokój miały w lecie,
My ptaszyny nieboraki!...

Tak biadała okruszynka
A wtem dźwięknie dzwon z kościoła
Idą ludzie i dziewczynka,
Leci ptactwo dookoła

— Co to? Co to — spyta parka
Za czym lecą te ptaszęta?
Ach, dziewczynka sypie ziarnka
Dobre duszki są dziewczęta.

Ol... polećmyż za dziewczeczką
 Gdy iść będzie do swój chatki,
 U jój okna wić gniazdeczko
 Pod jój pieczęą chować dziatki.

Jak rzeczone, tak się stało,
 I głos poszedł wśród ptaszątek,
 Żeby każde gniazdko słało,
 Nad okienkiem u dziewczątek.

Uroczystość w Wieliczce,

(list do Gołąbki pocztowej).

Wieczory dawały niedawno w „Listach pensyonarki” opis Wieliczki, sądzę więc kochana Gołąbko że czytelnicy ich zechcą powziąć wiadomość uroczystościach jakie się tam odbywają niekiedy. Ta o której mówić zamierzam odbyła się w lecie z okazji urodzin cesarza Franciszka Józefa. Wybraliśmy się wtedy z rodzicami do Wieliczki, aby widzieć oświetlenie kopalni, która w blasku ogni sztucznych prawdziwie czarujący przedstawia widok. Przybywszy na miejsce weszliśmy do klatki w której nas zamknął górnik wołając: — gotów! — co miało znaczyć że już spuścić się można. Po chwili też uczuliśmy lekkie drżenie sprawiane tem, że spuszczaaliśmy się na dół. Klatka zrobiona z kraty żelaznej przebiega tak wązkim otworem jak jój objętość, jest w niej zupełnie ciemno, gdyż oświeca ją tylko lampka zawieszona u góry. Było nas pięć osób, bo więcej nie wolno naraz zabierać. Po kilku minutach stajemy, słysząc w ciemnościach głos wołający iż jesteśmy sześćdziesiąt i dwa metry pod powierzchnią ziemi. Wyszliśmy z klatki oddychając z przyjemnością świeżem chłodnem powietrzem. Na dole było już dość liczne zgromadzenie, nieustannie zaś przybywało coraz więcej osób, na które czekaliśmy, by razem iść dalej. Wyruszamy nareszcie, idziemy najpierw wązkim korytarzem do kaplicy św. Antoniego, wszystko co się tu znajduje to jest: figury, ołtarz, ambona, ławki, wyrobione z soli, ale nieszczęśliwie wygląda, bo sól już poczerniała.

W pewnych dniach roku odbywa się tu nabożeństwo. Idąc dalej ujrzelśmy posąg Augusta II naturalnej wielkości. Jakiś Niemiec sądził w prostocie ducha, że to był posąg Augusty cesarzowej niemieckiej! aż dopiero ktoś mu wytłómaczył omyłkę. Dalej powędrowaliśmy do komory św. Urszuli. Po dwudziestu stopniach weszliśmy następnie na galerię komory Michałowice. Schodzimy niżej, zdaje się niepodobieństwem wydostać ztąd na górę, bo schody są jakby przyklepione do prostopadłej ściany, podparte tylko ogromnemi belkami, tak że aż dreszcze przechodzą na myśl gdyby się zapadły... Ale na szczęście niema niebezpieczeństwa, bo doskonała i trwała ich budowa zabezpiecza od wypadku zwiedzających. Przechodzimy koło wydrążeń z boku w których urządzono sztuczne groty, palą się w nich teraz czerwone qengalskie ognie i rozlewają dokoła światło, odbijające się we wszystkich załamach soli, brak tylko kilku fantastycznych postaci w bieli, ażeby złudzenie przeniosło nas w jakiś świat zaczarowany.

Zwiedzamy jeszcze komory Franciszka Józefa I-go, Leopolda, Karola Ludwika, Fryderyka Augusta, Karoliny i Maksymiliana. Muzyka przygrywa, wszędzie i wszędzie różnokolorowe ognie się palą. Wchodzimy nareszcie do komory zwanój „Banhofem Gołuchowskiego” tutaj odpoczywamy. Są tu długie ławy i stoły oświecone lampami, można kupić piwa i bułek z szynką dla zaspokojenia głodu, który się nieraz odzywa po przechadzce w zimnem powietrzu. Siedząc spokojnie przypatrujemy się rozmaitym kostiumom, prawie większa część osób ubraną jest w płaszcze z szarego płótna nieodpowiednie do swego wzrostu, co bardzo zabawnie wygląda. Panowie pozdejnowali kapelusze i zawiązali je w końce płaszców, chustki zaś od nosa powiązali sobie na głowach.

Łatwo sobie wyobrazić jak to śmiesznie wyglądało, tem więcej że było zhyteczną ostrożnością, bo sól roztopiona nie kapała z góry, a o ściany nikt się nie opierał. My nie kładliśmy tych śmiesznych płaszczy a mimo to nie zniszczyliśmy sukien. Chłód jaki tu panował obok świateł lamp, sprawiał iż sądziliśmy że było już dobrze po północy, gdy właśnie tylko co minęła południowa godzina. Czekaliśmy znów na drugą partję przybyszów, żeby się nie spotkać w wązkich korytarzach, nareszcie napływają jak fale, a górnicy dają znak umówiony ażeby iść dalej. Idziemy do „komory zielonój” o uszy nasze odbija się znów język niemiecki i słyszymy co chwila jakieś dzikie okrzyki podziwu.

W „komorze zielonój” ma być najgłówniejsza część całego obchodu; udało nam się dosyć szczęśliwie dostać na galerię z której wszystko najlepiej widać. Zapalają fajerwerki rozmaitych kształtów, spadające z szumem i sykiem, to jak deszcz ognisty, to znów jak gwiazdy, nareszcie ukazuje się olbrzymia zielona gwiazda z cyfrą cesarza i cesarzowej w pośrodku. Niemcy obecni nieludzkimi głosami krzyczą wiwat! pozdejnowali kapelusze wywijając niemi w górze, muzyka gra hymn austriacki. Naraz wszystko ucichło, bo nastąpiła najpiękniejsza i najwznioślejsza część uroczystości. Czterech górników wsiadłszy do kosza przywiązanego do grubiej liny trzymając pochodnie i śpiewając chórem pieśń do Najświętszej Panny: „Serdeczna Matko opiekunko ludzi”. Wznosili się coraz wyżej i wyżej ruszając pochodniami a słowa ich śpiewu odbijały się cudnie w podziemiach, gdy już prawie znikali w górze wystrzelono z miedzierza, a echo strzał ten powtórzyło tysiącem odgłosów. Chociaż byłam uprzedzona przez mamę o strzale, jednak złąkłam się niezmiernie słysząc tak blisko huk przeraźliwy, który w takich przestworach jeszcze się groźniejszym wydał. Z „komory zielonój” dostaliśmy się do komory Majera i Rozette, gdzie znajduje się owo sławne jezioro podziemne. Tłum je okala, umieszczony tam posąg Matki Boskiej otaczają kolorowe lampki, odbijające się w ciemnych nurtach nieruchomej wody.

Udajemy się potem przez chodnik Sielec do Łentowa, balowej sali podziemia. Na galerii odzywa się orkiestra, a zgromadzeni pomimo zmęczenia rozpoczynają tańce. Nie byliśmy naturalnie na balu i w godzinę potem winda niosła nas do góry. Z jakąż radością ujrzelśmy znów światło dzienne! Co za zmiana we wszyst-

kiem! W podziemiach chłód przejmujący i ciemność rozświetlona sztucznymi ogniami, tu zaś upał i blask słońca.

Obok wejścia do salin kramarze rozłożyli swoje towary, to jest rozmaite zabawki z soli, kupiliśmy ich kilka, służą nam teraz za barometr, gdyż przed deszczem są tak mokre że woda z nich spływa, podczas pogody zaś zupełnie suche. Siedząc już w wagonie upatrywałam jednych państwa z Warszawy, z którymi jechaliśmy w tamtą stronę. Mieli oni panienkę w moim wieku z którą pragnęłam się zaznajomić bliżej, myśląc że może ona równie jak ja jest czytelniczką Wieczorów? A może i pisuje pod jakim pseudonimem? Tak od razu trudno było ją o to zapytać, teraz będąc obok niej powtórnie, ośmieliłabym się do tego prędnąć. Ale niestety! w jej miejsce wsiedli jacyś Niemcy, co mnie bardzo rozgniewało i zmartwiło.

Przed odejściem pociągu widzieliśmy na peronie całą arystokracją Wieliczki w odświętnych strojach, przybyła tam aby się przypatrywać gościom.

Odjechaliśmy wreszcie, zaczęłam sobie w myśli porządkować wrażenia dnia tego, aby ci je opisać droga Gołąbko. Niema co mówić, saliny oświecone przy tej wroczyście wyglądały wspaniale i pięknie, jak jakieś duchów podziemnych siedlisko, a wrażenia jakie wtedy odniosłam zapamiętałam długo.

Żegnam cię tymczasem droga Gołąbko i pozostaje zawsze dla ciebie serdecznie życzliwa

Cicha Woda.

SZARADA.

(od Jaskółki z nad Ussy dla Chmurki złocistej).

Pierwsze zaprzecza; drugie zaś płynie
W niemieckiej krainie
Wszystko piękna litewska rzeka
Która do Bałtyku ucieka.

Łamigłówa w kwadraciku.
(ułożył Kołowrotek).

1 R — 2 E — 2 J — 1 W — 2 A — 1 N — ułożyć kwadracik z 9-ciu podziałek aby odczytać w obu kierunkach:
1. Nazwisko dawnego poety. 2. Imię żeńskie. 3. Imię męskie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 2-go.

Zagadki:

Czarodziejskiej zgłoski:

Czarodziejską zgłoską jest litera N. wyrazy będą: nosy, sonda, Nida, kanton, Kornel, okno, nowa, naga, Warna, knot, Wanda, nawa, Bona, koran, Kongo, kran, kanwa, koncha, banda, walna.

P. I. Jodka w Petersburgu. Żądany Atlas wyprawiony i kosztuje wraz z przesyłką rs. 4 kop. 70. Półroczna prenumerata „Głosu” wynosi rs. 4 kop. 50, razem przeto z rs. 11-tu., wydano rs. 9. kop. 20, pozostaje więc do dalszego rozporządzenia rs. 1 kop. 80. **Zasady Socyologii** dodawane były bezpłatnie dawniejszym prenumeratorom, obecnie zaś są im dodawane: **Instytucje obrzędowe** również bezpłatnie.

Bardzo nam miło, że **Goryczka** kochana „odważyła się” wreszcie odezwać do nas. Na poprawienie kaligrafii jeszcze czas, a nie wątpimy, że przy usilnem staraniu nastąpi to niedługo.

Ad. Sid. przysłał nam łamigłówkę, na umieszczenie której o ile się okaże dobrą, czekać musi swojej kolei, również jak wszyscy i wszystkie, którzy nadsyłają nam liściki.

Numer żądany przez **Czarną Koteczkę** posłano; tak jej jak i wszystkim którzy pamiętali o biednych, załączamy serdeczne podziękowanie

Kampanella, Równianka i Różyczka Jerychońska obdarzyły nas serdecznem słówkiem życzeń, które wielką nam przyjemność sprawiają, jako dowód przychylności tych, dla których pożytku pracujemy.

Kulce śniegowój należy się podziękowanie i od nas i od biednych, także same przesyłamy **Córce Mazurów, Kalince, pracownicy Czarnookiej z Puszczy, Sokolikowi**, który z braterską uprzejmością wyręcza chorą siostrzyczkę, **Niezabudce z nad Chomoru**, oraz **Konwalijce z nad Wisły i Rumianemu Jabłuszku**, które własnoręczną robotą odziewają biedną dziatwę.

Szczerości kochana, twój pseudonim ręczy nam za to, że „chętnie” powiększasz ilość tych, którzy nas życzeniami obdarzają.

Różyczko biała z Wołynia, i nam „stare lata” twoje nie przeszkadzają kochać cię bardzo szczerze. Za serce sercem się zwykłe płaci.

Obawa **Mewy z nad Bałtyku** nieuzasadniona: błędów niema. Tęsknotę twoją pojmujemy i tem też chętniej zaliczamy cię do gronka tych naszych dzieweczek, z których utworzyła się nam, przybrana tylko wprawdzie, lecz szczerze miłościwa rodzinka.

St. Roz. pragnie zawiązać stosunki z innymi czytelniczkami „Wieczorów”. Nic przeciw temu nie mamy, liściki wszakże muszą czekać swojej kolei i dla tego nowa prenumeratorka potrzebuje uzbroić się w cierpliwość.

Rebusy **Ciernia** są dobre; rysunki tylko potrzebują być poprawione; chętnie zaliczamy go do grona stałych korespondentów.

Orzeł biały nadesłał nam bardzo dobre rozwiązanie łamigłówni sylabowej, zamieszczonej w 1-ym numerze.

Niezapominajce z nad Warty za życzenia w odmienniej formie wyrażone, osobno przesyłamy podziękowanie, wierząc, że wyjątkowość formy nie odejmuje im szczerości.

Kochany **Kwiecie Lotosu**, Gołąbka która teraz do każdego numeru dołączy odpowiedź na ostatnio odebrane liściki, sama ci się wytłumaczy. Od siebie przesyłamy ci tylko uścisk w zamian za życzenia. Numera żądane przesłać możemy. Zadanie w swoim czasie przejrzymy.

Kuropatwie z nad Ikopetiu należy się także od nas uścisk. Ptaszyno droga, wyrzucasz sobie opóźnienie: tu nie pociągnęło ono za sobą żadnych szkodliwych następstw; stało się tylko dla ciebie nauczką, jak niezmiernie jest ważną rzeczą rachować się z czasem. Powieść o którą pytasz pozostała nieskończona.

Wiel. Bar. N. T. Szczerze „Bóg zapłać” w imieniu biednych przesyłamy.

Kochany **Mazurze z nad Dunaju**. Niewiem co myślisz o mnie, żem ci dotąd na miłą twą odezwę do mnie nie odpowiedział. Najserdeczniej ci jednak wdzięczny za nią byłem, ale się nie odzywałem, bo od lata dotąd prawie ciężko byłem chory, groziła mi zupełna strata wzroku, potem przez czas długi życie było w niebezpieczeństwie, teraz mi lepiej znacznie i na wieś już wróciłem, ale mi na czas długi czytanie, pisanie i nauki zabroniono. Tyle numerów „Wieczorów” zostało dotąd nieprzeczytanych, że nie wiem o konkursach jakie były w tych czasach. Mieszkam

w gubernii Kowieńskiej, na imię mi Staś, mam lat 10; mam dwie siostrzyczki i dwóch młodszych odemnie bracišków. Zacząłem się przygotowywać do 2-jej klasy realnego gimnazjum, a oto choroba wszystko powstrzymała. Na rok nowy życzenia serdeczne tobie i wszystkim czytelnikom „Wieczorów” przesyłam. Ściskam cię serdecznie; twój *Kłosek Litewski*.

Drogi moje: Gwiazdeczko i Niezapominajko z nad Mroźcy. Serdecznie wam dziękuję za miłutkie liściki. Tak mi przyjemnie czas zeszedł u was, że wspominając go, osładzam sobie chwile samotności. Napiszcie prędko do mnie, a zrobicie tem wielką przyjemność kochającej was aż do śmierci, *Cichéj Wodzie* N-r. II

Kochane: Cicioreczko i Różyczko Jerychońska! Jesteście w moim wieku, więc chciałabym do was pisywać i wiedzieć gdzie mieszkać? i jak się nazywacie? Mnie na imię Lucia, mieszkam w pobliżu Słucka. Trzy miesiące chorowałam ciężko. Niedawno zaczęłam wstawać, uczyć się na pamięć wzbraniają mi jeszcze doktorzy. Jak się poznamy, opiszę wam moje gospodarstwo. Ściskam was, *Czarnotka*.

Kochana biała Perelko! Z listu twego do Błyskawicy, dowiaduję się, że masz zamiar być w Żytomierzu, gdzie i ja mieszkam; może się poznamy, tymczasem czy nie zechcesz ze mną korespondować? Całuję cię serdecznie, *polna Róża*.

Czarnéj Perelce ukłony zasyłam.

Moje lube kochanezki: Błyskawico, Sosno polska, Zwinnia Wiewiórko i Śpiewna Liro! Przesyłam wam wszystkim razem serdeczne życzenia Nowego roku, oraz miliony uścisków, niezapominajcie o *białéj Perelce*.

Droga Bławatko z nad Horynia. Piszę do ciebie, dowiedziawszy się, że jesteś czytelniczką Wieczorów. Na imię mi Marya, uczę się w domu i chociaż osobiście cię nie znam, lecz z opowiadania Antosi M., wiem że nazywasz się M. P. Czy zgadłam? *Życzliwa Niezabudka z nad Chomoru*.

Kochane: Sasanko z Mazowieckich lasów i Stokrotko z nad Pilicy! Skończyłam dopiero siedem lat, lecz pragnęłabym z wami korespondować. Mam nadzieję, że zrobicie tę przyjemność *Trawce stepowej*.

Kochana Mołodyco Ukraińska! Skoro już wiem, że ci na imię Zosia, a siostrze twój Julcia, zdaje mi się, że pierwsza litera twego nazwiska jest Z? Jeżeli tak, to się znamy z widzenia u sąsiadki, Andzi K. Odpisz czy zgadłam i czy będziesz chciała ze mną korespondować. Szczerze ci życzliwa, *Rusalka z Dżimitry*.

P. S. Wszystkim szanownym Staruszkom i kochanym młodszym siostrzyczkom posyłam powinszowanie Nowego Roku.

Dla czego nie napisałaś mi jak się nazywa miejsce zamieszkałe przez ciebie i jak wyglądasz droga Akacyo różowa? Zaspokój że prędko ciekawość kochającej cię *Złotéj Tęczy*.

Droga Stokrotko z nad Stochodu! Mamy jednakowe pseudonimy, chciałabym więc poznać się z tobą przez nasze kochane piśmko. Co ci się najlepiej podoba w Wieczorach? bo mnie „Goście Ciokti Klotyldy” i „Podziemia Barwałdzkiego zamku”, a „Sze-snastoletni wojewoda” mnie nie zachwyca. Oczekuję z niecierpliwością miłych dla nas swiąt. Pisałam do Gosposi, z nad Warty i odpisała mi, spodziewam, się że i ty mi odpiszesz kochana Stokrotko. Ściskam cię *Stokrotka polna*.

Czy przypominasz mnie sobie kochana Mimozo z nad Póru, przed dwoma laty byłam u was z moim bratem S. Uściskaj odeodemnie twoję siostrzyczkę A. i namów ją aby obrała sobie pseudonym i napisała do Wieczorów. A teraz zgadnij kto jestem? Ściska cię *Sarenka modrooka*.

Drogi moje: Niezabudko czeska i Gosposiu z nad Warty! Nie jestem ani bardzo wesola, ani też smutna, kochana Niezabudko, ale co do piosenek, to wolę smutne i przeciągłe. Może kiedy spotkam się z tobą Gosposiu i z tobą Niezabudko, wtedy poznam was z pewnością instynktownie, bo czuję do was wielki pociąg, miłe siostrzyczki. Teraz bywajcie mi zdrowe, ściska was serdecznie, *Piosenka*.

Kochana Biedronko Warszawska. Choć cię nie znam, mam ochotę z tobą korespondować. Mieszkam na wsi na Litwie, mam

lat 12, jestem brunetką, drugą z rzędu, moje siostry, są: *Żywe Srebro* i *Dzieweczka litewska*, uczę się w domu, a w wolnych chwilach wyręczam mamę w gospodarstwie, mam nadzieję, że mi odpiszesz. Twa *Gosposia białodoleńska*.

Kochana Litwinko z nad Szczary. Znam cię dobrze, jestem także Litwinką, a chcąc cię zaciekawić, donoszę ci, że jesteś obecnie cierpiąca, bardzo cię żałuję. Donieś czy wiesz kto ja jestem? Całuję cię po milion razy, twoje *Żywe Srebro*.

Kochana Wiewióreczko Inflantska. Chcę się z tobą poznać, bo zdaje mi się że jesteśmy w jednym wieku. Na imię mi Maniusia, mieszkam na Litwie na wsi, jestem najmłodszą z czterech siostr. Czy nie mieszkasz w Rydze? Odpisz twój *Dzieweczce Litewskiej*.

Kochany Kwiecie Paproci! Zgadłam kto jesteś! nazywałeś się Fila S., a moja ciocia jest u was nauczycielką. Napisz jeszcze kiedy do mnie. Całuję ciebie i Pawła, *Kureczka z nad Ikwy*.

Drogi moje: Królowo Elfów, Boginko z nad Łydyni i Gazello z nad Nilu! Tak rzadko do nas przychodzisz Królowo Elfów wraz z Boginką twoją siostrzyczką, że przez Wieczory prosić cię muszę, byś nas częściej odwiedzać raczyła. Gazelko droga, twój pseudonym zaciekawił mię bardzo, donieś gdzie mieszkasz? I ile masz lat i jak ci na imię? Ściskam was serdecznie i proszę o odpowiedź. Wasz *Barwinek*.

Drogi moje: Śpiewna Liro, Niezapominajko z nad Warty, Boginko z nad Łydyni i Artystko! Dziękuję wam bardzo za wasze liściki. Nazywam się Marya, mam lat 8, mieszkam w gub. Lubelskiej i mam dwie siostry i jednego brata. Lirenko, jestem zupełnie podobną do ciebie, tylko mam oczy czarne. Pisujcie do mnie, bardzo was proszę o to i ściska. *Bajurka z Firlejskiego podwórka*.

Brzózce z nad Łydyni zasyłam pozdrowienia.

Kochana Kapłanko Znicza. Bardzo podobał mi się twój pseudonym, donieś na jakiéj mieszkasz ulicy, to może się spotkamy. Jak wyglądasz? O mnie wiesz chyba wszystko z listów do śpiewnéj Liry. Przyjmij milion uściśnień od *Artystki*.

Drogi moje: Czeska Niezabudko i Piszczalko z nad Ussy. Dziękuję ci Niezabudko za tak prędką odpowiedź i przesyłam najserdeczniejsze życzenia noworoczne. Czyś o mnie zapomniała, droga Piszczalko? chciałabym i nadal z tobą korespondować. Posyłam ci tymczasem noworoczne życzenia. Ściskam was serdecznie i pozostaję zawsze życzliwa *Jaskółka z nad Ussy*.

Droga Biała Akacyo i Cicha Wodo! Moja imienniczko, zkąd się tu wzięłaś? musi która z nas zmienić pseudonym, albo dodać do niego nazwę miejsca w którem mieszka, dla odróżnienia się. Białéj Akacyi donoszę, że Lucję Mie. widziałam cztery lata temu w Krynicy, jeżeli pisuje do „Wiecz.” powinna się do nas odezwać. Donieś mi gdzie miała być oddaną na pensję? *Cicha Woda*.

Droga Biała Ostróżko! Spieszę by wykonać twój zamiar i posyłam dar dla biednych na gwiazdkę. Widać, że masz dobre serduszek, skoro o biednych pamiętasz. Chciałabym cię poznać choć listownie, proszę więc donieś mi jak ci na imię i czy lubisz muzykę? Całuję cię po milion razy prosząc o odpis. Twoja *Kulka śniegowa*.

Drogim siostrzyczkom: Palmie, Dumce, Halce z Litwy, Różyczce białéj z Wołynia, Stokrotce z nad Stochodu, Topolce srebrnéj, Niezabudce z nad Chomoru, Kulce śniegowej, Dębince, Bzu Gałazce, Kuropatwie z nad Ikopetiu, Łątce, Polance, Polce Mazurce i wszystkim czytelniczkom, zasyłam serdeczne pozdrowienia na rok nowy. *Jedlinka*.

Miła Brzydotko z nad Tamizy. Dawno już czuję do ciebie niewypowiedzianą sympatyę, która się powiększyła, gdy przeczytała twą odezwę do przyjaciółki. Jak widzę, obie miałyśmy myśl jednakową. Tyś ją wyraziła w wierszyku twoim, ja w liście do drogich siostrzyczek. Odpisz mi, miła zamorska Brzydotko, czy zechcesz korespondować ze mną? Tobie Fiołeczku z nad Wisły donoszę, że się nazywam Marylka R. Chciałabym się także coś o tobie dowiedzieć. Niezapominajce z nad Warty za szaradę serdecznie dziękuję. Wasz *Poranek Majowy*.